

Kinga Cieniak

Żaglówka

*Żegluję ja żegluję
żegluję przez wzburzone morze*

Rod Steward *Sailing*

Jestem małą, zwykłą żaglówką, która płynie przez bezkres oceanu. Zostałam ukuta w kuźni uniwersyteckiej, gdzie najlepsi specjaliści składali mnie ze specjalnych komponentów – historii literatury, wiedzy o kulturze, historii i gramatyki języka, zajęć z nowych mediów. Dopełnieniem tego zestawu komponentów były najważniejsze praktyczne części składowe – umiejętności i wiedza metodyczna. Tak ukształtowana ukończyłam montaż na uczelni w 2016 roku.

Budzik dzwoni dość głośno, tak, żeby można było się poderwać już za pierwszym dzwonkiem. Jest czwartek. Dobry dzień tygodnia – zaczynam lekcje trochę później, co prawda kończę je po południu, ale zaraz potem można zebrać siły na ostatni piątkowy wysiłek i czuje się już powiew weekendu. Mój kadłub przyozdabiam jak zwykle bluzką i marynarką w jednym z wielu różnych kolorów. Określony odcień na specyficzny dzień, okoliczność i nastrój. Dzisiaj może to być ciemnozielony. Żakiet zawsze jest wcieleniem profesjonalizmu, do tego okulary, pozwalające na włożenie i zdjęcie z nosa w określonym momencie, co jest podkreśleniem wagi wypowiedzianych słów. Dziwię się, że nadal to działa na uczniów... Przygotowuję śniadanie, czekając aż moje ulubione cappuccino będzie gotowe. Jeszcze zanim je zjem, zajrzę mimowolnie do dziennika elektronicznego. Ta „biblia” na serwerze to rozpisane dzień po dniu

rozkłady jazdy. Zbiór dat, informacji, wiadomości i zajęć, które trzeba poprowadzić. Najlepiej, żeby wszystko było na już, a nawet kiedy nie musi, wolę sama zająć się tym z wyprzedzeniem, żeby mieć poczucie nadzoru nad chaosem, który, czego wszyscy w mojej szkole się boimy, kiedyś w końcu spadnie nam na głowy i nie podołamy już niczemu. Już teraz trudno się odnaleźć w gąszczu sprawozdań, raportów, klasyfikacji, ewaluacji, zebrań zespołów, rad pedagogicznych, opinii i... Coś jeszcze było do zrobienia na ten tydzień, ale w tym momencie nie mogę sobie tego przypomnieć. Muszę o to zapytać koleżankę, bo uparcie bronię się jeszcze przez zakupem Totalnego Atrybutu Pedagoga – kalendarza nauczyciela na rok szkolny 2021/2022. Aż wzdygam się na samą myśl. Nie chcę tak rozleniwiać mojego umysłu a zarazem polegać na rzeczy martwej. Szare komórki muszą być zawsze w formie. Teraz przydadzą mi się jeszcze bardziej, zważywszy na to, że przyjąłam pracę na pół etatu w drugiej szkole i jestem w zaawansowanej fazie pisania mojego doktoratu. Czasem można się pogubić...

Ale teraz koniecznie trzeba spożytkować wolną godzinę przed lekcjami, więc siadam do sprawdzania wypracowań klasowych. To najbardziej żmudne i męczące w pracy polonisty. Sprawdzenie dużego wypracowania egzaminacyjnego, pisanego samodzielnie przez ucznia na lekcji. Ilość błędów w tego typu pracach jest zatrważająca, codzienna komunikacja uczniów w niczym nie przystaje już do tego, czego uczymy ich na lekcjach. Wypowiedzenia współrzędnie i podrzędnie złożone, imiesłowowe równoważniki zdania... Teraz ma być po prostu szybko, łatwo i zrozumiale. Od moich uczniów wiem, że nie używa się już kropek na końcu smsa, są passe...

Z tych rozmyślań wyrzywa mnie spojrzenie na zegarek, pora się zbierać. Układam włosy, pakuję drugie śniadanie, pod pachę wkładam nieodłączną butelkę wody i... mogę wychodzić. Do mojej szkoły numer 3,14 dopytam jeszcze trochę przed czasem. Nie lubię się spóźniać, tym bardziej, że w szkole podstawowej jest to niedopuszczalne. Zaraz na korytarzu robi się zamieszanie, dzieci są zdezorientowane, a koleżanki – te uczynne i wzorowe – od razu patrzą z zaciekawieniem, kto to nawalił, kogo nie ma, o kim warto wspomnieć z niesmakiem, że nie wpuścił na czas klasy do sali. Ach... Spokojnie docieram na moje piętro, pod drzwi pracowni języka polskiego, otwieram drzwi i... wpływam na suchego przestwór oceanu.

Lekcje zaczynam dzisiaj z klasą 8ąć – mordercami w białych rękawiczkach. Tak ich nazywam, bo ja nigdy nie miałam z nimi konfliktu i na pozór są bardzo mili, kulturalni i otwarci. Wiem, że pod tym kryje się jednak coś głębszego, w stosunku do innych nauczycieli są bardzo krytyczni, problematyczni, a kiedy nie znajdują z nimi wspólnego języka pozwalają sobie na niewybredne komentarze w stylu: „Ta pani jest nienormalna, nic nie robi i jeszcze jej za to płacą...” Chociaż są już nastolatkami, za chwilę skończą ósmą klasę, w jakimś stopniu na pewno powielają to, co słyszą o nas w domu. A co się mówi o nauczycielach... to przypomina pieśń lodu i ognia – najlepiej trzymać ich o chlebie, wodzie i chłodzie albo przypiekać nad rozżarzonym ogniem za to lenistwo, kręćtactwo, nieuctwo i branie niebotycznych sum

wypłat i dodatków. Nie, muszę przestać o tym myśleć, bo zaraz zacznę się śmiać. Naprawdę mnie to czasem bawi. Wspominam jeszcze wspaniały czas strajku nauczycieli z 2019 roku. Pracowałam wtedy w innej placówce, gdzie dyrektorem była i nadal jest bardzo mądra kobieta, z prawdziwą inicjatywą i zaangażowaniem, zawsze otwarta na to, o co w edukacji naprawdę chodzi – trudne sprawy uczniów i rozwiązywanie z nimi problemów, wspieranie czasem zagubionych rodziców oraz stawianie za nauczycielami i nakładanie na nich rozsądnych obowiązków, a bronienie przed zalewem głupich przepisów. Dlatego właśnie przyjąłam drugą posadę – ponownie w tym miejscu. Może uda mi się jeszcze przekonać samą siebie, że praca w szkole ma sens i da się udźwignąć jej wykonywanie przez kolejne lata.

Pamiętam ten miesiąc solidarności, uporu, zaangażowania i trochę chyba ekscytacji. Na swój sposób było to podniosłe, że uczestniczy się w czymś razem z setkami tysięcy innych osób, o czym jest mowa nawet w mediach. Że wokół nas wszędzie widać i słychać głosy o strajku nauczycieli, ludzie o tym rozmawiają w kolejce do sklepu, wspomina o tym pani w mojej osiedlowej bibliotece... I nie obchodziło mnie wtedy, co się o tym mówi. Ta atmosfera wspólnoty, jedności między nauczycielami była wspaniała. Co ciekawe, dostaliśmy wtedy wsparcie od naszych uczniów, przystępujących właśnie do egzaminów ósmoklasisty. Pamiętam ich galowe ubrania, powagę i skupienie w tych ważnych dla nich dniach i nasze czarne (tak to było wtedy nieoficjalnie umówione) stroje i też powagę i też skupienie, tyle, że nasze z trochę innych powodów... Strajk nauczycieli zakończył się naturalnym torem... Ale chyba to właśnie po nim zostało mi to coś najważniejszego – poczucie, że o ważnych sprawach trzeba mówić. Trzeba zwracać na nie uwagę czasem głośno, bezpretensjonalnie i bezpardonowo. Nie zmieni się NIC, jeżeli pozostaniemy cisi, bierni i niesprzeciwiający się. To chyba po tamtym wydarzeniu stałam się nauczycielem, który jeszcze bardziej myśli o dobru ucznia, stara się nie nakładać na niego głupich obowiązków, nie zadaje dziesiątek bzdurnych zadań do domu tylko dlatego, żeby pokazać, że może. Ale jestem też nauczycielem, który dba o siebie. Misja i wizja nie wystarczą już dzisiaj nikomu, żeby utrzymać rodzinę, mieć zdolność kredytową, pozwolić sobie na uczestnictwo w życiu kulturalnym swojego środowiska. Stałam się w pewnym sensie nauczycielem niewygodnym. Czasem nawet współczuję mojej dyrekcji. Nie można tak łatwo zamiatać różnych spraw pod dywan...

Czas przeznaczony na samodzielne czytanie tekstu minął. Dzisiaj pracujemy nad *Quo vadis* Sienkiewicza. Teraz jak zawsze zapytam, czy wszystko jest zrozumiałe. I oczywiście na początku dowiem się, że tak, zdecydowanie... A potem okaże się, że jednak wiele wyrazów i treści do uczniów nie dotarło. Mamy dziś ogromny kryzys starania się, wysiłku, pracy nad tekstem. Ważne, żeby szybko przez niego przebrnąć, przeczytać pobieżnie i wyłapać jakieś najogólniejsze sensy... Jeśli coś wymaga głębszego, pełniejszego zastanowienia się, połączenia kontekstów, odczytania znaczeń ukrytych to jest... głupie. Uczniom nie chce się wysilać. I nie ma co ich za to tak do końca winić. Urodzili się i żyją w kulturze łatwości i wygody. Internet, teksty

kultury – obrazy i wiadomości, z którymi mają na co dzień do czynienia mają być lekkie, łatwe i przyjemne. To dorośli, którzy dla nich tę kulturę stworzyli, pokazali im, że tak może być. Teraz już nie da się tego odwrócić. Można im tylko pokazać, że czasem warto nakłonić siebie samego do wysiłku, bo wtedy zyskamy coś więcej, pogłębimy swój odbiór komunikatu, poszerzymy horyzonty, zacieśnimy więzy...

Uwielbiam pracować z uczniami nad tekstami literackimi, a już szczególnie nad lekturami. Ich dobór mógłby, co prawda, być nieco lepszy, ale większość utworów daje pretekst do naprawdę szerokich rozważań. Można przy nich poruszyć tyle ciekawych, życiowych tematów. Zawsze bawi mnie i cieszy to, kiedy zaczynamy pracę z bardziej wymagającymi tekstami, jak na przykład z *Balladyną*, która jest na ogół pierwszym szokującym doznaniem czytelniczym dla naiwnego jeszcze i przyzwyczajonego do lektur w stylu *W pustyni i w puszczy* umysłu siódmoklasisty. Pierwsze lekcje z lektury to zazwyczaj błędzenie po omacku, dopiero wtedy uczniowie zdają sobie sprawę, że nic nie zrozumieli z kilkugodzinnych zmagania z tym dramatem. Doskonale rozumieją tylko jedno: „Proszę Pani, to jest jakiś dramat...” Bynajmniej jednak nie w znaczeniu literaturoznawczym. I dopiero po kilku zajęciach pojedyncze fakty, informacje i zdarzenia zaczynają im się układać w jedną całość, a ostatnie lekcje to już zazwyczaj wdychanie czarodziejskiego pyłu, który sprawia, że w ich umysłach nagle świta myśl: „To ma jednak jakiś sens.” Lubię zderzać ich doznania czytelnicze ze świeżo co przeczytanej lub przejranej (tak obecnie zdarza się częściej) lektury z tym, co sądzą, kiedy już kończymy jej omawianie. Wtedy uświadamiają sobie, jak wiele się dowiedzieli, mogą prawie namacalnie odczuć ten przyrost wiedzy. To jest bardzo satysfakcjonujące uczucie. Dla obu stron – i dla ucznia i dla nauczyciela...

Omawianie lektur szkolnych, gdy już przedstawi się i uporządkuje ich treść to też wspaniała okazja do poruszenia rozmaitej problematyki dotyczącej życia, miłości, wartości, spraw ponadczasowych. Pod tym względem naprawdę kocham pracę polonisty i uważam, że nie równa się z nią nauczanie żadnego innego przedmiotu (nie umniejszając, oczywiście, nauczycielom matematyki, fizyki, historii czy innych zajęć). My wszyscy – poloniści – jesteśmy po trochu wychowawcami. Musimy mieć rozległą wiedzę na różne tematy, bo przecież opowiadamy i o historii (od starożytności po II wojnę światową), i o geografii (jakoś trzeba uczniów przeprowadzić przez afrykańską pustynię i puszcze), i o chemii (opowiadamy o wytwarzaniu materiałów wybuchowych metodą domową w mieszkaniach pewnych warszawskich nastolatków). A najlepsze jest to, że nigdy nie wiemy, w jaką stronę skieruje się dyskusja i jakie pojawiają się pytania. Nie lubię ograniczać swobody i inwencji uczniów, nigdy nie przerywam naszych rozmów, jeśli nie odbiegają one za daleko od tematu lekcji. Kocham to, że czasem przy interpretacji wiersza potrafią mi podrzucić taki kontekst albo takie rozumienie pewnego obrazu poetyckiego, które wcześniej nie przyszło mi do głowy. Dzięki temu czasem tworzymy trzy, cztery odczytania tego samego wiersza. Oczywiście pamiętamy o zasadzie,

że interpretacja nie może wychodzić całkowicie poza tekst i tworzyć znaczeń czy wyjaśnień, których nie ma w źródle.

Czasem zastanawiam się, jak to jest, że ktoś płaci mi za to, że po prostu rozmawiam z uczniami... To zabawne. A zarazem jest to dla mnie niezwykle budujące. Mam takie poczucie, że tego najbardziej im potrzeba. Zwłaszcza współcześnie, w czasach pandemicznych... Największym komplementem jest dla mnie, gdy dziecko nie chce wyjść po lekcji z klasy na przerwę, tylko zostaje specjalnie chwilę dłużej, żeby dokończyć jakąś myśl poruszoną na lekcji, bo inaczej ją rozumie albo opowiedzieć żart, który akurat skojarzył mu się z tym tematem. Bardzo lubię tego słuchać. A dzieci tak naprawdę przede wszystkim chcą być wysłuchane...

Przykre jest niestety to, że rzadko mogę im pozwolić zostać ze mną w klasie po dzwonku na przerwę, bo sama muszę jak najszybciej ją opuścić i wyjść na dyżur na korytarz. Dyżury są bardzo męczące i obciążające. Po długim okresie nauki zdalnej w tamtym roku uczniowie wrócili do szkoły rozleniwieni, dezorganizowani i bardzo, bardzo głośni... Większość z nich jest wręcz rozkrzyczana. Poziom hałasu na szkolnych korytarzach jest niekiedy nie do zniesienia. Najgorsze są dwie sąsiednie długie przerwy, dwa razy po dwadzieścia minut absolutnego krzyku, rozgardiaszu i nieopanowania. Kiedy ma się dyżur przerwa za przerwą, począwszy od czasu przed lekcjami do 15.05 po południu, jest to czasem nie do zniesienia. Nakładają się na to dwa czynniki – niemożność pójścia do toalety i zjedzenia w spokoju kanapki w pozycji siedzącej, nie chodząc i zaglądając w każdy możliwy kąt korytarza. Do tego dochodzi obowiązek zapewnienia dzieciom absolutnego bezpieczeństwa, pozostawanie w ciągłej gotowości, czujność i postawienie nas na baczność. Przypomina to wojskową rutynę. Na dłuższą metę jest to naprawdę obciążające. Ciągła obawa, przeświadczenie, że musisz wszystkiemu zapobiec, połączona ze świadomością bycia nadzorowanym przez oko Saurona. W naszej szkole został wprowadzony niemal całkowity monitoring i wiemy, że bywamy w czasie naszych dyżurów nadzorowani przez dyrekcję, czy należycie zapewniamy bezpieczeństwo uczniom. Dobrze, że zrezygnowaliśmy chociaż z dziennika papierowego, bo gdy jeszcze obowiązywała u nas podwójna dokumentacja i obowiązek przekazania dziennika nauczycielowi, który ma po nas lekcje z klasą, dochodziło do takich absurdów jak bycie Trójcą Świętą. Należało być w trzech miejscach jednocześnie – pełnić dyżur na korytarzu, jednocześnie pójść do nauczyciela z dziennikiem i stale zaglądać do toalet uczniowskich, czy nie dzieje się tam nic niepokojącego. Sama osobiście dostałam upomnienie od dyrektora, że nie ma mnie na korytarzu, gdy jestem na parterze i przekazuję dziennik wuefistom. Próbowалаm opanować sztukę teleportacji, ale przyznam, że nie jest to łatwe. Może przy mniejszej masie własnej byłoby mniej cząsteczek do przetransportowania... Ale na razie trzeba po prostu poruszać się na nogach, a mówiąc serio bardzo często zapomina się, że my też mamy ograniczenia fizyczne, możemy być zmęczeni, szkodzi nam hałas i nadmierna ilość stresu. Kiedy do tego dochodzi brak możliwości załatwienia swoich potrzeb fizjologicznych cza-

sem frustracja naprawdę sięga zenitu. Choć wiem, że jest to naturalne, nieodmien- nie odczuwam skrępowanie, gdy muszę poprosić koleżankę z mojego korytarza, by zastąpiła mnie na chwilę na dyżurze, bo po prostu muszę skorzystać z toalety. Wiem, że część nauczycieli ma tak samo. Dorosły człowiek proszący o to, czy może pobiec na chwilę się wysikać? Do tej pory nie do końca potrafię się na to zgodzić. Tym bardziej, że jeszcze trzy, cztery lata temu pracowałam w innej szkole, w której osoby układające grafik brały pod uwagę to, że nauczyciel nie jest tylko wcieleniem idei, ale też istotą biologiczną, która musi się zasilać jedzeniem i piciem oraz, co naturalne, w pewnym momencie potrzebuje to wydaląć. To jest tak błaha i abstrakcyjna sprawa że moi bliscy niezwiązani ze środowiskiem szkolnym nie chcą w to uwierzyć. Ciągłe mają w głowie obraz nauczyciela sprzed dwudziestu lat, który na przerwie siedział w pokoju nauczycielskim i pił kawę. Na lekcję wychodził czasem parę minut po dzwonku, a tymczasem... Nikt po drzwiach sali się nie porozbijał, kosze na śmieci czy krzeselka nie były zdemolowane. Nas ktoś tak uczył i wychowywał. Czemu my dzisiaj nie uczymy chociaż tej odrobiny samodzielności?

Na lekcji poświęconej *Kamieniom na szaniec* w klasie 8xyz – mojej klasie, której jestem wychowawcą – rozmawiamy o wartościach w życiu Alka, Zośki i Rudego. Na pierwszym planie pojawia się oczywiście patriotyzm. I po omówieniu jeszcze kilku istotnych kwestii przechodzimy do dyskusji o związku tej lektury z życiem codziennym współczesnych ósmoklasistów. Czy mogą czegoś się nauczyć od bohaterów tej powieści? Czy też mają podobny system wartości? Z czego wynika to, że się zmienił. Jedna z uczennic stwierdza wtedy:

Proszę Pani, my mamy dzisiaj zupełnie inne wartości. Jesteśmy inaczej wychowywani. Dla nas ojczyzna nie jest już taka ważna. Gdybyśmy mieli stanąć za nią do walki, pewnie byśmy tego nie zrobili... Bo dla nas liczy się już dzisiaj bardziej wygodne życie. Chcemy zarabiać pieniądze, chcemy, żeby nam się dobrze żyło. Rodzina i przyjaciele nadal są dla nas bardzo ważni, ale liczy się też czas spędzony online. To w internecie toczy się spora część naszego życia, śledzimy, co tam się dzieje. Wzorujemy się na życiu znanych osób, też chcemy tak wyglądać, spędzać czas... Chociaż wiemy, że to jest trochę nierealne życie.

I tak to sobie rozmawiamy. Od II wojny światowej doszliśmy do przekłamanego wizerunku celebrytów w mediach, potrzeb i oczekiwań młodzieży. Nie wyobrażam sobie, żeby moi uczniowie nie chcieli się wypowiadać na zajęciach. Dla mnie lekcje języka polskiego są wtedy bez sensu. W pracy z każdą klasą staram się zawsze stworzyć taką przyjazną atmosferę, żeby dzieci czy młodzież mogli otwarcie dzielić się swoimi przemyśleniami czy wrażeniami z odbioru niektórych tekstów kultury. Nigdy nie karzę im mówić, że Słowacki ich zachwyca, choć nie zachwyca... Porusaliśmy już tak różne tematy jak – zdrowie (Kochanowski nauczył ich wtedy, że gdy boli ręka, noga to nie jest dobrze, więc trzeba dziękować rano, gdy się wstanie, że ciało jest w dobrym stanie), rodzina (popłakaliśmy sobie trochę z Mickiewiczem czy Słowackim, że tak im źle było w tym tułactwie na obczyźnie a przy Norwidzie

wzruszali się na serio, bo doszli do wniosku, że miał strasznie smutne życie, a takie piękne wiersze pisał...), seks (nie ma już w programie jedyne erotyku, który w starych dobrych czasach gimnazjalnych omawiało się w trzeciej klasie – *W malinowym chruśniaku* Leśmiana, po którym zwłaszcza chłopcy wzruszali ramionami zawiedzeni: „To to jest ten erotyk?”, ale pretekst do rozważań na ten temat nasuwa się sam i przy innych okazjach), pieniądze (kiedyś jeden uczeń stwierdził przy tej okazji bardzo błyskotliwie, że Neron, choć brzydki i gruby, byłby w naszych czasach atrakcyjny i miałby wiele adoratek, bo posiadał wielkie bogactwa). Często rozmawiamy z moimi uczniami także i o moim systemie wartości, o wzorcach z młodzieńczych lat, tym, czego nie mogę zaakceptować we współczesnym świecie. Omawiamy razem bieżące wydarzenia społeczne, polityczne, kurioza, pojawiające się w mediach. Przyznaję się czasem przed nimi do jakichś moich słabości, wad, pomyłek. Nie stwarzam pozorów nieomyślności. Jest to pewnie niewłaściwe i niepedagogiczne, bo teoretycznie nie daję uczniom możliwości postrzegania nas jako autorytetów... Problem jednak w tym, że oni i tak od dawna nie uważają nauczycieli za autorytety. Uważam, że nie ma co na siłę trzymać się naszych posągów z brązu i bronić jak niepodległości sztandarowego hasła: „Nauczyciel ma zawsze rację!”. Chyba pora już od tego odejść i pójść w kierunku szkoły uczącej się. Czego mogę się nauczyć, jeśli stwierdzę, że to ja jestem alfą i omegą i wszystko już wiem? Wolę uczyć się od moich uczniów, w wolnym czasie chodzę też na różne szkolenia. Pod tym względem pandemia okazała się dla części nauczycieli zbawienna – dzięki webinarom i spotkaniom online mogę wybierać dla siebie najbardziej wartościowe treści i w jednym tygodniu być na szkoleniu zarówno w moim lokalnym ośrodku doskonalenia nauczycieli, jak i w Gdańsku, Warszawie czy Lublinie.

Sęk w tym, że chyba niedługo zostanie mi odebrana ta moja mała niepodległość. Zbliżająca się zmiana w systemie szkolnictwa chyba zabije resztki naszej autonomii. Czy stanę się sygnalizatorem? Pójdę „zasygnalizować”, że koleżanka źle pełni dyżur albo wyszła o pięć minut za wcześnie? Prędzej chyba całkiem zrezygnuję w pracy w oświacie. Kaganki będą nosić odpowiednio do tego przygotowani cenzorzy, żywe wcielenia prawości, wiedzy i cnót. Może to być w pewnym zakresie nawet wartościowe, bo wszędzie tam, gdzie stawia się ograniczenia, tłumi się swobodę i autonomię rodzi się w końcu twórczy bunt, intelektualny i społeczny ferment. Nie pragnę żadnej anarchii, ale gdyby tak uczniowie przykuci do kanonu prawej i sprawiedliwej literatury zaczęli w akcie sprzeciwu sięgać po coś „niewłaściwego”, Gombrowicza czy Witkacego. To byłoby ciekawe...

Moje rozważania przerywa dzwonek zwiastujący koniec przerwy, a zarazem moją ostatnią tego dnia lekcję. W drzwiach sali mijam moją koleżankę polonistkę, która wpadła szybko po podręcznik, zostawiony w biurku. W przelocie migamy do siebie porozumiewawczo światłami i nadajemy szybkie, konkretne komunikaty alfabetem Morse’a. Moja koleżanka jest tak jak ja małą żagłówką na wielkim oceanie szkoły. Ona jednak będzie niedługo związać żagiel i odpływać do portu

o nazwie: „Zasłużona emerytura”. A przede mną jeszcze wiele, wiele lat samotnego żeglowania...

Tymczasem jednak zaczynam moje ostanie zajęcia w klasie 8qy – najzdolniejszej z tych, które uczę. Lekcja przebiega gładko, temat realizujemy krok po krok. Nie jest to dzisiaj nic szczególnego. Nie daje mi jednak spokoju jeden fakt. Właśnie w tej wyróżniającej się klasie jest jedna uczennica bardzo „niepoprawna” po względem wyglądu. Ma kontrowersyjne kolorowe włosy, których barwa zmienia się jak odcienie tęczy po burzy. Aktualnie jest ona w połowie fioletowa, w połowie zielona. Do tego czarne charakterystyczne ubrania, masywne buty i bardzo mocny makijaż. Znam tę dziewczynkę i wiem, że jest bardzo inteligentna, skromna i cicha a przy tym jako jedna z nielicznych jest tak kulturalna, że mogłaby uczyć *savoir-vivre*’u młodszą klasę. Pamiętam taki dzień z początku roku szkolnego, kiedy byliśmy z moją klasą na wycieczce szkolnej i powodu braku chętnych osób pozwoliliśmy dołączyć kilkorgu uczniom z innych klas. Jako pierwsza chętna zgłosiła się właśnie ta dziewczyna. Od pierwszych minut wycieczki wzbudzała zaciekawienie wszystkich dookoła, począwszy od kierowcy autokaru przez osoby – młodzież i dorosłych z innych grup, które mijaliśmy już na miejscu. Usłyszałam w przelocie mnóstwo komentarzy na jej temat, a w miejscu docelowym byłam nawet świadkiem jej rozmowy z chłopcami z równoległej klasy, którzy pytali ją, czy nie może zacząć wyglądać normalnie. Chciałam zainterweniować, ale po jej słowach pomyślałam, że z takim wizerunkiem na pewno będzie wzbudzać zainteresowanie i kontrowersje wszędzie, gdzie się pojawi. Nieważne, czy to będzie teraz w podstawówce, czy w życiu dorosłym. Żyjemy w tak małym, zamkniętym środowisku, że dla wielu ludzi inność jest zawsze powodem do krytyki i komentarzy. Posłuchałam więc, jak da sobie radę, a ta kolorowa dziewczyna odpowiedziała mi tak zaskakująco i tak mądrze, że pomyślałam od razu, że nic tu po mnie. „Czego ode mnie chcesz? Dlaczego nieustannie komentujesz to, jak wyglądam? Czy robię Ci tym jakąś krzywdę? Czy czegoś od Ciebie chcesz? Ja pozwalam Ci być takim, jakim chcesz. Nie oceniam Twojego ubrania, postawy, zachowania. Mógłbyś i Ty zrobić to samo”. I umilkł. Ten chłopak i wszyscy pozostali komentatorzy życia społecznego zawsze i wszędzie.

Po tej wycieczce napisałam do mamy tej dziewczynki. Nie musiałam, bo to nie moja klasa, nie jestem tam wychowawcą, nic niepokojącego się nie stało, mam mnóstwo problemów ze „swoimi” uczniami. Ale jednak napisałam. Opisałam jej całą sytuację, to, że od dłuższego czasu obserwuję jej córkę, że wydaje mi się często bardzo smutna, zamknięta w sobie. Że widzę jej duży talent i potencjał i chciałabym, żeby się rozwijała. Wspomniałam też o jej kontrowersyjnym wizerunku i moich przeczuciach co do tego, że nie jest to tylko kwestia upodobań estetycznych, ale być może sprawa dużo głębsza, sięgająca sfery emocjonalnej. Dodałam też, że jestem pełna podziwu dla zasad, które muszą panować w ich domu. Podczas drogi powrotnej dziewczynka zgłosiła mi, że źle się czuje. Ma chorobę lokomocyjną i mdli ją. Czy byłaby możliwość, żebyśmy się na chwilę zatrzymali? Oczywiście, tylko, jeśli

inne osoby też będą tego potrzebowały, bo jeśli mamy zatrzymywać autokar tylko dla niej, to nie chce sprawiać kłopotu. Stało się tak, że zaraz potem zarządziłam postój... Po dotarciu z powrotem pod szkołę i inspekcji autokaru okazało się, że jest w nim straszliwy bałagan, obraz jak z Żeglugi Mickiewicza. Poprosiłam kierowcę o nietwieranie drzwi dopóki przynajmniej papierki i resztki jedzenia nie znikną. Duża grupa uczniów była na mnie oburzona, a w tym czasie, kiedy trzeba było im uświadamiać, że ani my – opiekunowie, ani kierowca nie jesteśmy ich prywatną obsługą i nie będziemy po nich sprzątać, ta dziewczynka już zbierała wszystko, co było rozrzucone po podłodze do dużego worka na śmieci. Wokół jej miejsca przez całą wycieczkę było czyściutko... O tym wszystkim napisałam do jej mamy, tak po prostu. Bez jakiegoś większego celu.

A teraz przysiadłam na biurku na ostatnie już minuty lekcji i wiedziałam, że zanim klasa wyjdzie muszę ją poinformować, że dostaje uwagę za niestatutowy strój szkolny. I wiedziałam również, że robię to trochę wbrew sobie. Może bardziej niż trochę. Ale na radzie pedagogicznej dzień wcześniej zostaliśmy co do tego ostro pouczeni. Mamy wyciągać konsekwencje wobec uczniów, bo inaczej zostaną one wyciągnięte względem nas. Wpisałam jej uwagę, mając w pamięci odpowiedź jej mamy na moją wiadomość. Mail był długi i bardzo szczery, jednocześnie wyważony i nie naruszał granicy prywatności tej dziewczynki i jej rodziny, ani mojej. Mama na wstępie podkreśliła to, że nie chciałyby łamać granicy relacji nauczyciel-rodzic, obarczać mnie własnymi problemami rodzinnymi i angażować nadmiernie w sprawę jej córki, bo mam przecież wielu uczniów z różnymi historiami a każdemu z nich należy się uwaga i zainteresowanie. Potem opowiedziała mi o jej problemach, braku poczucia własnej wartości, izolowaniu się, zamykaniu w sobie i uczęszczaniu na terapię, której poddała się cała rodzina. Wszystkie te problem nasiliły się jeszcze w okresie pandemii, a ona – mama – czuje się obecnie bezsilna i próbuje zaakceptować wizerunek córki, mając na uwadze rady pani psycholog, że może to być okres przejściowy.

Wiedząc to wszystko poprosiłam tę dziewczynkę, żeby została na chwilę na przerwie w sali. W tym momencie miałam oczywiście dyżur na korytarzu, ale postanowiłam, że ten jeden raz moja dusza już cesarza nie słusza... Po prostu z nią porozmawiałam o tym, co teraz u niej słychać, jak się czuje, czy można coś dla niej zrobić. Poopowiadałam jej trochę o moich szkolnych latach, co wspominam dobrze, a co było okropne. Zachęciłam ją do udziału w konkursie z języka polskiego i w turnieju ortograficznym. Później okazało się, że w obu z nich wzięła udział, w żadnym nie zajęła wysokiego miejsca, ale to nie było najważniejsze. Mój kadłub i tak lśnił w promieniach słońca na piękny złoty kolor...

Potem już tylko żagiel na maszt, na prawo burt i pełna moc... Kurs na DOM. Po południu musiałam jeszcze zająć się sporą ilością spraw. Przede wszystkim przygotować się na jutro do lekcji, ułożyć kilka sprawdzianów i kartkówek na poprawy dla uczniów. Uzupełnić różne dane w dzienniku, porozmawiać z kilkoma nauczycie-

lami. I kiedy to wszystko skończyłam, wzięłam ciepłą kąpiel, czując jak jest cudownie relaksująca i odprężająca. Koniec końców woda to mój żywioł. Przeciwstawiam się jej, rozdzieram na pół jej masy moim kadłubem, czasem zaryję głębiej dziobem, a niekiedy zwyczajnie płynę z prądem, gdy jest pomyślny... Czasem, dość rzadko, udaje mi się rozwinąć w pełni żagiel i wypłynąć na naprawdę szerokie wody... To są chwile prawdziwego szczęścia...

A na razie wystarczy mi mój mały port, do którego właśnie zawijam. Ramiona mojego ukochanego, w których chcę spokojnie zasnąć, by jutro z nowymi siłami wstać i móc powiedzieć sobie: „Żegluję, ja żegluję, żegluję przez wzburzone morze...”